

MIKOŁAJ
GOLACHOWSKI



CZOCRAŁEM
ANTARKTYCZNEGO SŁONIA
I INNE OPOWIEŚCI O ZWIERZOŁKACH



MARGINESY

COPYRIGHT © BY Mikołaj Golachowski

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026

Ludzie są malutcy. A to jest nasza planeta...

(Hania, lat 2 i 10 miesięcy,
rozkładając szeroko ręce
przed łąką otoczoną lasami)

II. Kostka lodu

Ten region zna jedynie dwie pory roku: zimę i sierpień.

Jeanette Mirsky, *To the Arctic*



4. Szczyt wszystkiego

Daremnie próbuję sobie wytłumaczyć, że biegun to tylko skuta mrozem pustać – przed oczyma mej wyobraźni zawsze roztacza się jako okolica pełna rozkosznej piękności. Tam nigdy nie zachodzi słońce, Małgorzato: szeroki jego dysk muska jedynie skraj widnokregu, rozsiewając przepyszny, niegasnący blask.

Mary Shelley, *Frankenstein, czyli współczesny Prometeusz*

DO ARKTYKI TRAFIŁEM PO RAZ PIERWSZY W 2007 roku, ale od razu konkretnie: na sam biegun północny, i to dwukrotnie, uczestnicząc w dwóch kolejnych rejsach legendarnego lodołamacza atomowego „Jamał”. Miałem ten zaszczyt i ogromną przyjemność, że później gościłem tam jeszcze cztery razy. Co prawda by tam dotrzeć, ani razu nie musiałem – jak to się zdarzało w dawnych latach – przedzierać się przez lodowe zatory, wydostawać z powstających nagle szczelin, odmrażać różnych części ciała ani zjadać swoich towarzyszy, ale byłem, widziałem. I jestem zachwycony. Mimo że zaprowadziła mnie tam moja praca, praca przewodnika, wciąż uważam się za wyróżnionego. Nie przypisuję sobie z tego tytułu żadnej zasługi, choć wiem, jak niewiele osób miało podobne szczęście. Zresztą gdyby przywiązywać wagę do samej liczby odwiedzin, absolutną rekordzistką jest moja znajoma Irina Michajłowa, rosyjska stewardesa pracująca na atomowym lodołamaczu „50 Let Pobiedy” (czyli „50 lat zwycięstwa”), jedynym statku, który regularnie na biegun od paru lat dopływa. Irina pracuje na lodołamaczach już ponad dwadzieścia lat, w tym czasie była na biegunie... siedemdziesiąt trzy razy! Nikt inny na świecie nie może się tym pochwalić: żaden marynarz, oficer ani sławny zdobywca. Gdy jednak zapytałem ją, czy czuje się dzięki temu wyjątkowo, uśmiechnęła się tylko i stwierdziła, że... no cóż, praca jak praca. W historii ludzkości drugie miejsce pod względem liczby wizyt na biegunie północnym zajmuje Walentina Gonczarowa, szefowa sprzątaczy i sprzą-



„50 Let Pobedy” w pobliżu bieguna północnego

taczek na tym samym statku. Walentina była tam tylko sześćdziesiąt dziewięć razy – cztery wycieczki opuściła, kiedy urodziła córkę.

Czym jednak w ogóle jest Arktyka? Co takiego jest w tej zimnej krainie, że od ponad dwóch tysięcy lat działa na ludzką wyobraźnię i nieustannie przyciąga podróżników, gotowych na ogromne wyrzeczenia, często na śmierć, byle tylko odkryć jej zamrożone sekrety? Większości z nas to miejsce kojarzy się z bezkresną białą pustynią, po której misie ścigają sympatyczne pingwiny ku uciechu okutanych w skóry, skośnookich i rozchichotanych Eskimosów. A to zupełnie nie tak.

JUŻ STAROŻYTNI GRECY ZAUWAŻYLI, że gwiazdy mają centralny punkt obrotu, czyli biegun niebieski, który znajduje się w pobliżu Gwiazdy Polarnej w gwiazdozborze Małej Niedźwiedzicy. Dostrzegli

też, że jedne gwiazdy widać zawsze, a inne zależnie od pory roku. Linia oddzielająca te dwie grupy przebiega przez gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy. Równoległą do niej linię na powierzchni Ziemi nazwali kręgiem arktycznym (od słowa *arctos*, oznaczającego niedźwiedzia). Stąd nazwa całej krainy.

Spośród przedstawicieli „naszej” cywilizacji pierwszy odwiedził ją Pyteasz z Massalii, antycznej greckiej kolonii znanej obecnie jako Marsylia. Nie wiadomo o nim niestety zbyt wiele. Znakomita większość jego pism przepadła i znamy je z relacji Polibiusza, żyjącego nieco później greckiego historyka i geografę. Ten zresztą, podobnie jak większość mu współczesnych, nie wierzył w rewelacje przywiezione przez podróżnika, takie jak słoneczny dzień trwający nawet dziewiętnaście godzin czy morze skute lodem. Wiemy jednak, że to Pyteasz udoskonalił przybory nawigacyjne i że to on zwrócił uwagę na związek oceanicznych pływów z położeniem Księżyca. Wiadomo też, że był prawdopodobnie pierwszym odkrywcą, który dla samej żądzy poznania zapuścił się na tak daleką północ, a jego relacje na wieki stały się jedynym źródłem informacji o tych terenach. Wyruszył tam około 310 roku przed naszą erą w poszukiwaniu cyny i bursztynu. Podróż zawiodła go do Wielkiej Brytanii, prawdopodobnie również nad Bałtyk, a także tam, gdzie „nie ma już różnicy między lądem a morzem i powietrzem, a substancji łączącej wszystko nie sposób przebyć pieszo ani statkiem”, czyli na zamrożnięte morza u przedsionka Arktyki. Fridtjof Nansen, norweski oceanograf, uznał, że ten opis w obrazowy sposób przedstawia gęstą lodową kaszę i mgły charakterystyczne dla arktycznych mórz. Pyteasz nazwał najdalszy z lądów, które odwiedził, Ultima Thule (Ostatni świat), choć nie wiadomo, czy dotarł do północnych wybrzeży Norwegii, do Szetlandów, czy może na Islandię. Tak czy siak odkryty przez niego mroźny świat na zawsze zawładnął wyobraźnią ludzkości, a Ultima Thule do dziś pozostaje synonimem końca świata.

A zatem krainę położoną najdalej na północ nazwano po prostu Krainą Niedźwiedzia. Z pozoru łatwo więc Arktykę zlokalizować. To tam, gdzie jest biegun północny, otoczony pokrytym lodem Oceanem Arktycznym i północnymi krańcami Europy, Azji i Ameryki Północnej i wyspami leżącym u ich wybrzeży – wraz z największą, Grenlandią.

Kłopot w tym, że nikt nie potrafi dokładnie określić, gdzie na południu kończy się Arktyka, a zaczyna strefa umiarkowana. Można by na przykład przyjąć arbitralnie, że Arktyką nazwiemy wszystko to, co leży za północnym kręgiem polarnym, wyznaczającym granicę polarnego dnia i polarnej nocy (czyli strefę, w której przynajmniej przez jedną dobę w roku słońce w ogóle nie zachodzi i przynajmniej przez jedną w ogóle nie wstaje). Kręgi polarne, zwane też kołami podbiegunowymi, mamy dwa: północny i południowy (analogicznie na południe od tego drugiego również występują dzień polarny i noc polarna) położone na równoleżnikach $66^{\circ}33'39''$, odpowiednio N (północnym) i S (południowym) – mniej więcej, gdyż nasza ulubiona planeta chybocze się lekko w trakcie obrotów i kręgi polarne odrobinę się przesuwają. Gdyby jednak za granicę Arktyki uznać krąg polarny, znajdą się w niej obszary o bardzo różnych klimatach i warunkach przyrodniczych, ponieważ dzięki Gólsztromowi Europa jest znacznie cieplejsza od Ameryki Północnej i nasze strefy umiarkowane sięgają dalej na północ. Z punktu widzenia biologii wytyczenie takiej granicy nie miałoby więc większego sensu. Dlatego częściej za granicę Arktyki uznaje się albo izotermę $+10^{\circ}\text{C}$ (określającą średnie temperatury lata; na południe od tej linii jest cieplej, na północ – zimniej), albo granicę występowania zwartych obszarów leśnych. Oczywiście są to granice dość płynne: drzewa nie znikają nagle, ustępując miejsca arktycznej tundrze, tylko stopniowo karleją. Zależnie od kontynentu, ale i od ukształtowania terenu (w osłoniętych dolinach drzewa występują dużo dalej na północ) granica ta wije się szerokim zygzakiem, ale przynajmniej ma jakiś biologiczny sens. W samej Arktyce drzewa też jednak występują. Żyjące w prawdziwej tundrze wierzby i brzozy płożą się po ziemi i wystają na wysokość kilku centymetrów, a osiągnięcie grubości ludzkiego palca może im zająć kilkaset lat. Ale są. Jak to kiedyś określił mój kolega Tomasz Janecki, w Arktyce, tak jak u nas, rosną grzyby i drzewa. Tyle tylko że u nas to grzyby rosną pod drzewami, a w Arktyce – odwrotnie.

Arktyka otacza północny biegun naszej planety i obejmuje wszystkie długości geograficzne. Podczas swoich podróży odwiedziłem mniej więcej połowę jej obszaru, od Ziemi Franciszka Józefa na wschodzie po Arktykę Kanadyjską na zachodzie. Alaska i rosyjski Daleki Wschód

wciąż pozostają w sferze moich marzeń. W kolejnych rozdziałach opiszę arktyczne archipelagi i krainy, które miałem szczęście odwiedzić. Zacznę jednak od bieguna, bo to on jest zwieńczeniem naszej planety, przynajmniej w tradycyjnych odwzorowaniach kartografów z naszej półkuli.

Rejsy turystyczne ruszają na biegun z Murmańska, rosyjskiego portu nad Zatoką Kolską, będącą częścią Morza Barentsa. To największe miasto za kręgiem polarnym powstało całkiem niedawno, 6 lipca 1916 roku. Swoje istnienie zawdzięcza temu, że jego port nie zamarza przez cały rok. Jak na niecałe sto lat Murmańsk ma bardzo burzliwą historię. Powstał jako ostatnie miasto carskiej Rosji, po to, by umożliwić jej sojusznikom dowożenie dostaw wspierających imperium w wysiłkach pierwszej wojny światowej. Jego nazwa pochodzi od słowa *Murman*, wywodzącego się od Normanów, czyli ludzi północy, jak dawniej określano Skandynawów. Na samym początku nazywało się Romanow na Murmanie, ale nie trwało to długo. Po radzieckiej rewolucji wychwalanie Romanowów wyszło z mody. W kwietniu 1917 roku miasto przyjęło obecną nazwę. W okresie wojny domowej w mieście stacjonowała Biała Armia i siły zachodnie (walczyły tam też oddziały Polaków), a od 1926 roku miasto rozwijało się już jako



Murmańsk jest pięknie otoczony, ale samo miasto nie zawsze zachwyca

porządny komunistyczny port. I to niestety widać. Zawsze uważałem, że moje rodzinne miasto, Warszawa, zawdzięcza swoją oryginalną urodę (przynajmniej po zachodniej stronie Wisły) dwóm poważnym tragediom architektonicznym, które je dotknęły w XX wieku. Jedna to zniszczenie stolicy przez nazistów, druga – odbudowanie jej przez komunistów. Trudno powiedzieć, która z punktu widzenia estetyki była gorsza. Potem swoje dołożył szał młodego kapitalizmu lat dwudziestych. Bardzo lubię swoje miasto, ale to dość trudna miłość. Jednak w Murmańsku można się wyzbyć wszelkich kompleksów. Zachodziły tu i nadal zachodzą te same procesy, ale z większym rozмахem – i konsekwencje są bardziej ponure. Trafiłem tu kilkakrotnie i za każdym razem czułem się jak na wycieczce w szarą i posępną przeszłość. Nad miastem dominuje ogromny Hotel Arktika (odkąd pamiętam, w remoncie), najwyższy na świecie budynek położony za kręgiem polarnym. Reszta jest zabudowana przynębiającymi „chruszczówkami” – cztero- lub pięciopiętrowymi blokami, którymi usiane są wszystkie miasta byłego ZSRR.

Ale wróćmy do historii. Podczas drugiej wojny światowej z portu w Murmańsku początkowo korzystali Niemcy. Walczyli na północy z alianckimi okrętami. Później, w 1941 roku, po wybuchu wojny między ZSRR a Trzecią Rzeszą, siły niemieckie zaatakowały miasto z ogromną zjadłością, ale bohaterski opór mieszkańców połączony ze skrajnie trudnymi warunkami atmosferycznymi sprawił, że udało się je obronić i do końca wojny docierały tam konwoje z aliancką pomocą, rozwożoną następnie koleją po całym kraju. Miasto zostało jednak zniszczone tak bardzo jak Leningrad i Stalingrad, a wojenne cierpienia sprawiły, że w 1985 roku Murmańskowi przyznano status Miasta Bohatera. W ZSRR wyróżniono w ten sposób także jedenaście innych miast i jedną twierdzę. Co to oznaczało w praktyce? Miasta Bohaterowie dostawały po medalu Złotej Gwiazdy, Orderze Lenina i dyplomie uznania od Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, a potem jakieś malownicze miejsce psuto odpowiednim obeliskiem upamiętniającym to doniosłe wyróżnienie. Lata osiemdziesiąte to zresztą szczyt rozwoju miasta. Mieszkało tam wówczas prawie pół miliona ludzi: przyciągnęły ich lepsze płace, dodatki za warunki arktyczne, dłuższe urlopy i wcześniejsze emerytury. Od upadku Związku Radzieckiego

jego populacja stopniowo się kurczy. Obecnie ma około trzystu tysięcy mieszkańców. Klimat oczywiście nie należy do specjalnie sprzyjających, no i panująca od listopada do lutego ciemność sprawia, że powszechne są tam arktyczne problemy, takie jak depresja, samobójstwa i alkoholizm. Jednak w lecie miasto ożywa, a te rzadkie dni, kiedy słońce przebija się przez deszczowe chmury, bywają naprawdę ciepłe. Popularny jest tam dowcip o mężczyznach, którzy spotkali się w ruskiej bani i z pewnym zdziwieniem przyglądają się jednemu w swoim gronie człowiekowi o skórze jasnej jak papier. Pytają go:

– A skąd ty jesteś?

– Z Murmańska – odpowiada błądy entuzjasta pary wodnej.

– A to u was nie ma lata?

– Ależ jest, jest, oczywiście, że jest! Tylko akurat tego dnia byłem w robocie...

PIERWSZY RAZ WYLĄDOWAŁEM w Murmańsku pod koniec lipca 2007 i faktycznie nie było za gorąco. Temperatura sięgała raptem kilkunastu stopni, a całe niebo zasnuwały chmury. Było za to tyle komarów, że mimo letnich strojów nikt nie marzył. Nieustanne wymachiwanie rękami wraz z nerwowymi podskokami wymusza odpowiednią cyrkulację i zapewnia rozgrzewkę. Droga z lotniska wije się wśród rozległej lasotundry, porośniętej gęstymi i dość niskimi drzewami. Wokoło rozciągają się łagodne wzgórza, jeziora i rzeki, jakby przyroda chciała zawczasu – i to z nawiązką – wynagrodzić przygnębiające wrażenie, które robi miasto.

W końcu jednak z okien autobusu widać szare przedmieścia i zaczyna się Murmańsk. Trzeba przejechać przez cały, żeby dotrzeć do portu, więc można naprawdę nasycić oczy jego postkomunistyczną brzydotą. Jedziemy główną ulicą (Prospektem Lenina, jakżeby inaczej), po czym skręcamy w stronę pierwszej z obowiązkowych atrakcji – śnieżnobiałej Cerkwi Zbawiciela na Wodzie, zbudowanej w 2001 roku dla murmańskich marynarzy. Ta część miasta (w pobliżu znajduje się park ze sztucznym jeziorem) i sama cerkiew są zdecydowanie ładniejsze od murmańskiej średniej.

Kolejnym punktem programu jest wizyta u Aloszy, miejscowego olbrzyma. Alosza ma ponad trzydzieści pięć metrów wzrostu i stoi

na siedmiometrowym cokole, całość zaś wtargano na jedno z okalających miasto wzgórz. Alosza powstał w roku 1974 i upamiętnia radzieckich żołnierzy walczących w drugiej wojnie światowej. Od tego czasu spogląda zamyślony na zatokę, a w jego dumnych i szlachetnych rysach kryje się troska o losy sowieckiej ojczyzny. Trzeba przyznać, że mógł trafić gorzej – ze wzgórza roztacza się wspaniała panorama, a z takiej odległości nawet spływający łagodnie ku morzu Murmańsk wygląda nieźle.

Ostatnia atrakcja wprowadza nas w atmosferę wyprawy. Odwiedzamy sławny lodołamacz „Lenin”. Jest najstarszy z rodziny radzieckich lodołamaczy atomowych. Już od dawna nie wychodzi w morze. Cumuje u murmańskiego nadbrzeża i mieści się w nim muzeum. Ale kiedy powstawał, w 1957 roku, był pierwszym na świecie statkiem o napędzie atomowym, który pływał po powierzchni (wcześniej taki napęd stosowano tylko w łodziach podwodnych), a zarazem pierwszym przeznaczonym do działań cywilnych. Przez trzydzieści lat torował drogę konwojom pływającym wzdłuż północnych wybrzeży ZSRR, aż wreszcie w 1989 roku, po dwóch poważnych wypadkach, wyszedł z użycia i został udostępniony zwiedzającym. Zasadniczo do tego służą muzea, ale wizyta na „Leninie” to kolejna podróż w przeszłość – w czasy dumy i świetności sowieckiego imperium. Choć potężny i imponujący, nie jest w stanie przygotować nikogo na spotkanie ze swoimi następcami.

W końcu jedziemy do portu rosyjskiej floty atomowej, nazwanego z typową dla poprzedniego systemu kreatywnością: Rosatomflot. Droga wiedzie wzdłuż nadbrzeża i już z daleka widać wielki czarno-czerwony kadłub naszego nowego domu. „Jamał” rzeczywiście robi wrażenie. Nie dość że jest najpotężniejszym statkiem świata (a dokładniej – jednym z czterech równie potężnych używanych obecnie przez Rosję; pozostałe lodołamacze atomowe też zresztą należą do tego kraju), to jeszcze pomalowano go w tradycyjne anarchistyczne barwy, zastosowane zresztą na wszystkich statkach tej floty – choć zapewne gloryfikacja anarchizmu nie była celem pomysłodawców takiego ubarwienia. Ale „Jamał”, niczym wielki środkowy palec pokazany reszcie świata, ma na dziobie jeszcze coś: ogromną szczękę reki na. Trudno się oprzeć wrażeniu, że malując ją, twórcy statku chcieli

powiedzieć: „Mamy najpotężniejszy statek na świecie i co nam zrobić?”. Zarówno „Jamał”, jak i pozostałe jednostki należące do klasy Arktika mają około stu pięćdziesięciu metrów długości. Dwa reaktory podgrzewają wodę, a para (technicznie rzecz biorąc, lodołamacze te są parowcami) napędza trzy ogromne śruby z siłą siedemdziesięciu pięciu tysięcy koni mechanicznych. Po otwartym morzu „Jamał” płynie z prędkością do dwudziestu węzłów (węzeł to mila morska na godzinę, a zatem mówimy o niecałych czterdziestu kilometrach na godzinę). Przez lód o grubości do około trzech metrów sunie nieco wolniej, robiąc tylko dwanaście węzłów – tyle samo co zwykłe statki na pełnym morzu. Kiedy lód okazuje się grubszy, lodołamacz nie płynie prosto, tylko się cofa i taranuje, łamiąc go stopniowo swym ciężarem. Kapitan Stanisław Rumiancew opowiadał, że nie ma takiego lodu, przez który jego statek nie dałby rady przejść. Jestem przekonany, że gdyby się na mostku zagadali i nie zauważyli jakiejś wyspy, też by się przez nią przebili.

Nigdy nie miałem technicznych zainteresowań, ale muszę przyznać, że wizyta w maszynowni „Jamału” była naprawdę fascynująca. Poszedłem tam z grupą naszych turystów. Najpierw obejrzelśmy reaktory (przez szybę – nie wolno wchodzić, choć rozwieszone wszędzie liczniki Geigera nie wykazują promieniowania), później kolosalne silniki i monstrialne osie śrub, a potem spotkaliśmy się z głównym mechanikiem, który z prawdziwą miłością opowiadał nam o tym, do czego jego statek jest zdolny. Pokazywał nam fragment poszycia – bryłkę wzmacnianą tytanem stali wielkości pudełka zapalek. Mimochodem dodał, że tyle paliwa zużywamy w trakcie dwutygodniowej wycieczki. Lodołamacze atomowe tankuje się teoretycznie co dwa lata, ręcznie – paliwo na ten okres to bryła wielkości cegły. Ale nasz mechanik nie miał jeszcze okazji tego robić, bo „Jamał” od czterech lat pływał na tym, co dostał w fabryce. No właśnie. W tym cały problem z atomem – teoretycznie to najczystsze i najbardziej wydajne źródło energii. Reaktory na lodołamaczach są bardzo bezpieczne, nie da się ani zrobić z nich bomby, ani skazić nimi środowiska. Przynajmniej tak twierdzą ci, którzy tam pracują. Wszystko wygląda fajnie, póki coś się nie zepsuje, na ogół z winy człowieka, bo ludzie popełniali, popełniają i będą popełniać błędy, będą niedbali, będą popadać w rutynę, ktoś

gdzieś o czymś zapomni. Jak wiemy, już się to zdarzało – najbardziej znane katastrofy to Czarnobyl i Fukushima. Dlatego choć przyznaję, że ta energia jest cenna i wspaniała, trochę się jej boję. Nie tyle jej, ile ludzi dookoła niej. Ale fakt pozostaje faktem: jak dotąd nie wymyślono nic innego, co by nam pozwoliło dotrzeć na biegun tak sprawnie. To jedno z tych pytań, na które nie znalazłem odpowiedzi.

Oczy inżyniera lśnią, kiedy opowiada o różnych wynalazkach ułatwiających życie na „Jamale”. Mają tu na przykład system zwany pieszczotliwie jacuzzi, czyli płaszcz z bąbelków powietrza wypuszczanych przy dnie statku: to swego rodzaju smar zmniejszający tarcie o lód. Woda na całym statku jest zdatna do picia i statek sam ją sobie wytwarza, a główny mechanik dobiera jej skład wedle własnych upodobań. Nasz mechanik pochodził z gór, więc woda smakowała jak górski strumień. Ale „Jamał” nie należy do najnowocześniejszych lodołamaczy atomowych. Pod koniec wycieczki gospodarz przypomniał, że w Murmańsku mijaliśmy „50 Let Pobjedy” (w 2007 roku jeszcze nie był ukończony). Powiedział, że tamten statek będzie jeszcze trochę większy i silniejszy, a w dodatku nieco lepiej dostosowany do przewożenia turystów. Żaden z atomowych lodołamaczy nie został jednak statkiem turystycznym. Wszystkie przez cały rok prowadzą konwoje, a latem jeden z nich jest wynajmowany operatorom wycieczek, takim jak moja firma. W tym momencie ktoś z sali poprosił o przetłumaczenie nazwy, a starszy mechanik ochoczo spełnił jego prośbę. I wtedy zapadła niezręczna cisza. Rozejrzałem się i musiałem się w duchu uśmiechnąć. Tak się złożyło, że byli tam tylko japońscy i niemieccy turyści. Spojrzeli po sobie ze skrywanym niesmakiem: „Jakiego zwycięstwa?”.

Bohaterska czy nie, podróż na północny kraniec naszej planety robi wrażenie. Przez pierwsze dwa dni płyniemy przez Morze Barentsa i w końcu widzimy pierwsze kry. Jest ich coraz więcej, aż wreszcie gęstniejący pak (czyli dryfujący lód) przechodzi w solidną skorupę. Nieustanny grzmot pękających brył sprawia, że życie na takim statku to nieustanna seria trzęsień ziemi. Kadłub drży, a każde zderzenie z lodowym torosem jest jak mała eksplozja, przenosząca wstrząs przez trzewia całego statku. Ale kiedy już się do tego przywyknie, można podziwiać rozciągający się wokoło niezwykle krajobraz. Jak



W drodze na biegun północny

okiem sięgnąć, nie ma nic – lód po horyzont. Kiedy już się wydaje, że gdzieś tam coś widać, na ogół okazuje się, że to tylko jeszcze więcej lodu. Nie jest to jednak gładka, biała płaszczyzna, jak na przykład zamrożone jezioro. Lód arktycznego oceanu ciągle się przemieszcza, ogromne kry zderzają się ze sobą, ich brzegi wypiętrzają się i tworzą torosy, między nimi pojawiają się szczeliny, a na środku słońce wytafia szmaragdowobłękitne kałuże... Trzeba też dodać, że wyprawy na biegun na ogół odbywają się latem, kiedy słońce świeci bez przerwy, nieznacznie tylko zmieniając pozycję nad ludzkimi głowami. W takich warunkach traci się poczucie czasu. Ba, sama rzeczywistość staje się sprawą dość wątpliwą, a podróż w tak surrealistycznych warunkach kojarzy się raczej z narkotykowym tripem niż z faktycznym pokonywaniem przestrzeni. Trudno spać, a po przebudzeniu nie wiadomo, czy się spało godzinę i jest siedemnasta, czy trzynaste i nastał poranek. Dziwność tego miejsca najlepiej oddaje historia mojej znajomej, niemieckiej dziennikarki Birgit, która też płynęła tam wtedy po raz pierwszy. Codziennie o dziesiątej rano musiała wysłać krótki raport do swojej redakcji. Wieczorne spotkania w barze ciągnęły się do późna, więc co rano w panice kończyła teksty. Któregoś dnia była w wyjątkowo dobrym humorze. Nie omieszkałem o to zapytać.

– Nie uwierzysz, Mikołaj, ale moje zapętlenie osiągnęło taką fazę, że wczoraj o dziesiątej wieczorem myślałam, że jest dziesiąta rano, więc wczoraj wysłałam dwa teksty i dziś jestem wolnym człowiekiem!

Dlaczego miałbym nie uwierzyć?

Najbardziej mnie fascynuje to, że na tym lodowym pustkowiu czasem coś się dzieje. Na przykład widać ślady niedźwiedzia, rzadziej pieśca, ale i same niedźwiedzie. Wtedy statek się zatrzymuje, a one, zaciekawione, podchodzą – królowie tej krainy naprawdę niczego się nie boją, nawet ogromnego lodołamacza. Można wtedy z bliska spojrzeć w ich rozumne oczy, gdy na chłodno zastanawiają się, jak nas – bezpiecznych na pokładzie – dorwać.

Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z królem Arktyki. Wiemy, że niedźwiedzie tu są, więc od chwili kiedy wpływamy w lód, cały czas się rozglądamy. Sprawdzamy, czy wśród białych brył nie pojawi się żółtawa plama futra. I nagle, po południu pierwszego dnia w lodowym paku – jest!

Pierwszego niedźwiedzia nie sposób zapomnieć. Mój był ogromnym samcem. Właściwie nie bardzo się nami przejął. Zerknął tylko przez ramię na dziwną hałaśliwą wyspę kruszącą lód i ruszył dalej na swoich ogromnych łapach, niespiesznym, nieco chybottliwym krokiem, którym potrafi w ciągu doby pokonać dziesiątki kilometrów. Czasem się zatrzymywał, żeby obwąchać jakiś stary ślad (a węch mają niedźwiedzie fantastyczny, fokę potrafią wywąchać nawet z dziesięciu kilometrów), i ruszał dalej. Mniejsze kałuże przeskakiwał, do głębszych opuszczał się powoli lub skakał na główkę, by po chwili wygramolić się na lód po drugiej stronie. Mój pierwszy niedźwiedź w końcu zniknął, a my ruszyliśmy dalej, ale mam wrażenie, że on wciąż gdzieś tu po moim sercu drecze. Potem miałem jeszcze wiele takich spotkań. Czasem widywaliśmy też matki z małymi misiami, a raz zdarzyło mi się oglądać, jak jedna karmi swoje dzieci tłustym mlekiem. Wyglądała niezwykle ludzko: usiadła oparta o lodową bryłę i obiema przednimi łapami przytuliła do siebie głodne maluchy. W czasie tej samej podróży (jak zwykle – szczęście początkującego; nigdy później mi się to nie zdarzyło) dotarliśmy gdzieś, gdzie było trzynaście niedźwiedzi, pojedynczo lub w zestawach po dwa i trzy. Na lodzie leżały dwie upolowane niedawno foki, a najedzone misie

brykały lub odpoczywały. Jakby tego było mało, cała scena skąpana była w złotym świetle odchodzącego słońca (już wracaliśmy i byliśmy kilkaset kilometrów od bieguna, słońce wprawdzie nie miało zamiaru zachodzić, ale udawało, że bardzo chce), więc efekt okazał się – no cóż – magiczny.

Arktyka opływa w charyzmatyczne zwierzęta. Ale to niedźwiedź polarny jest najbardziej ikonicznym z jej mieszkańców. Wbrew obiegowym opiniom (na które, przyznaję, mam szczególną alergię) nie zjada pingwinów.

Jeśli jest jedna rzecz, którą chciałbym, żeby ludzie zapamiętali z moich polarnych opowieści, to jest nią właśnie to: pingwiny mieszkają na południowym krańcu Ziemi, na Antarktydzie i w jej okolicach. Niedźwiedzie zaś – na dalekiej północy, w Arktyce. To znaczy, że jeszcze nigdy żaden niedźwiedź polarny nie zjadł żadnego pingwina,



Z foki niewiele już zostało, ale mewy modrodziobe cierpliwie czekają na resztki

chyba że w wyniku rażących zaniedbań w jakimś ogrodzie zoologicznym albo w wyniku jakichś wyjątkowo głupich eksperymentów. Nie zjadł, bo nie miał okazji, bo dzieli ich cały świat.

Ale za to zjada inne zwierzęta. Menu niedźwiedzia polarnego wygląda doprawdy imponująco. Podstawowy jego pokarm to foki, ale żywi się wszystkim: od ptaków morskich po walenie. Niedźwiedź polarny jest ze wszystkich niedźwiedzi gatunkiem najbardziej drapieżnym. Każdy miś, łącznie z jego najbliższym krewnym, niedźwiedziem brunatnym, jest wszystkożerny i w pewnych okresach roku opycha się głównie jagodami. Niedźwiedź polarny to niemal stuprocentowy mięsożerca (tam, gdzie żyje, roślin zresztą nie ma). Osiąga wagę nawet do tysiąca kilogramów, więc jest największym lądowym drapieżnikiem świata.

Tyle tylko że właściwie nie jest to ssak w pełni lądowy. Jego nazwa łacińska, *Ursus maritimus*, oznacza: niedźwiedź morski. Świetnie pływa, a jego prawdziwym naturalnym środowiskiem jest morski lód.

Na lodzie niedźwiedzie nie mają sobie równych. Mimo ogromnej masy poruszają się po nim z niebywałą gracją, a ich ogromne łapy i specyficzny chód sprawiają, że mogą wchodzić na lód cieńszy, niż byłby bezpieczny dla nas. Potrafią wywęszyć fokę z wielu kilometrów, znaleźć ukryte pod lodem szczenię i uderzeniem przednich łap rozbić jego kryjówkę.

Niedźwiedź polarny jest absolutnym władcą swojej domeny. Wszystko, co się rusza, łącznie z nami, uznaje za potencjalny obiad. Kiedy podpływam w pobliże niedźwiedzia zodiakiem (pontonom z silnikiem) pełnym turystów i widzę jego zaciekawione spojrzenie, mam wrażenie, że patrzy na nas jak na pizzę z dodatkami. Kilkakrotnie zdarzyło mi się znaleźć bardzo blisko niedźwiedzi i zawsze fascynował mnie absolutny spokój, z jakim wychodziły nam na spotkanie. To nie jest agresja. Agresywny może być pies, kiedy się na nas rzuca. Niedźwiedź z przerażającym chłodem zastanawia się, jak nas dopaść. W jego oczach widać wręcz życzliwe zainteresowanie – tak jak my, kiedy się przyglądamy pachnącej, soczystej truskawce, autentycznie cieszymy się na jej widok i całkiem szczerze ją lubimy... Niesamowite wrażenie.

Niemniej to pod każdym względem wspaniałe i silne zwierzę może przez nas wyginąć. W całej Arktyce wyróżnia się około dwudziestu



Cieężko być królem. Svalbard

odrębnych populacji tego gatunku, choć nie są one w pełni izolowane, bo zwierzęta te migrują na ogromne odległości. Część z tych populacji wydaje się obecnie stabilna, a część nawet zdaje się rosnać. O innych nic nie wiemy – albo wiemy, że się kurczą. Wiadomo jednak, że dalsze ocieplanie się klimatu i redukcja pokrywy lodowej to dla wielu z nich zagrożenie. Naukowcy oceniają, że w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat liczebność niedźwiedzi spadnie nawet o jedną trzecią, choć przyznają także, że w tej chwili główną przyczyną zmniejszania się ich populacji są polowania. Polują na nich zarówno tak zwani sportowcy (czyli żałośni, zakompleksieni frustraci zabijający zwierzęta dla przyjemności), jak i rdzenna ludność robiąca to w imię tradycji. Ale jak wiele innych sytuacji nawet te rzekomo tradycyjne polowania trudno ocenić całkowicie jednoznacznie. Po pierwsze, niedźwiedzie polarne prawie nigdzie nie były podstawą utrzymania dla tradycyj-

nych mieszkańców Arktyki. Po drugie, zwłaszcza w Kanadzie, która chroni niedźwiedzie najsłabiej ze wszystkich krajów, w których występują, tradycyjne społeczności odsprzedają swoje prawa do odstrzału niedźwiedzi łowcom trofeów. Bardzo niechłubnie wyróżnia się organizacja WWF, która od lat przeciwstawia się podniesieniu statusu ochronnego niedźwiedzi polarnych, tak by polowania na nie stały się nielegalne. Z jednej strony jej przedstawiciele przyznają, że jest to gatunek zagrożony, a z drugiej twierdzą, że jedynym zagrożeniem są dla nich zmiany klimatyczne i polowania nie mają znaczenia. Prawda jest jednak taka, że niedźwiedzie polarne przeżyły już kilka okresów ocieplenia, więc i ten miałyby szanse przetrwać, gdyby nie to, że wciąż są zabijane przez myśliwych.

Ale za kilka lat sytuacja może się zmienić. Już teraz w ich tkan-
kach stwierdza się coraz więcej toksyn, które prowadzą do różnego rodzaju zaburzeń, łącznie z hermafrodytyzmem. Ponadto ocieplenie klimatu sprawia, że coraz trudniej im dotrzeć na naturalne łowiska, bo coraz mniej jest lodu, na którym mogłyby polować, i coraz dalej muszą doń płynąć (i coraz dłużej czekać wiosną, aż się uformuje).

Może się więc zdarzyć, że za jakiś czas naprawdę zaczną znikać. Trudno to sobie wyobrazić. Na szczęście są na świecie ludzie, którym zależy na tym, by zarówno Arktyka, jak i niedźwiedzie przetrwały w jak najbardziej naturalnym stanie. Zainicjowana przez Greenpeace międzynarodowa kampania na rzecz ochrony Arktyki (pod łatwą do zapamiętania nazwą „Save the Arctic”) zdobyła ponad trzy miliony zwolenników. Jeden z komentujących tę wiadomość internautów złośliwie zapytał, jak głęboko obrońcy polarnych ekosystemów sięgną w głąb kieszeni podatników, żeby ratować tę „kostkę lodu”. Nie wiem, czy to świadome (i kłamliwe) uproszczenie, czy świadectwo skrajnej głupoty, ale nie da się ukryć, że wzruszyła mnie ta uwaga. Arktyka to rejon o niebo bogatszy, pełniejszy życia, a przez to cenniejszy niż zwykła, nawet bardzo duża kostka lodu. Pojawiła się międzynarodowa inicjatywa, aby ją ratować. W jej ramach przedstawiono już w ONZ ideę utworzenia wokół bieguna ogromnego rezerwatu przyrody – na wzór obszaru chronionego wokół Antarktydy. Trzymam za ten pomysł kciuki. Jeśli taki rezerwat powstanie, nie będzie tam można ani łowić ryb (a to właściwie ostatni ocean świata, którego jeszcze nie

przełowiono), ani robić odwiertów, które są obecnie chyba najbardziej bezpośrednim zagrożeniem. Wszyscy (mam nadzieję) pamiętamy tragedię, którą na początku 2010 roku spowodował wybuch studni wydobywczej koncernu BP w Zatoce Meksykańskiej. Tysiące ton ropy trafiło do morza, miliony morskich zwierząt straciło życie, a zanim ekosystem wróci do naturalnego stanu – o ile to kiedykolwiek nastąpi – minie wiele lat. Ekosystem Arktyki wcale nie jest uboższy, a na pewno bardziej unikalny i delikatniejszy. Gdyby podobna katastrofa zdarzyła się tutaj, zniszczenia byłyby praktycznie nieodwracalne, choćby dlatego, że usuwanie bezpośrednich skutków wypadku jest w warunkach arktycznych niemożliwe, co zresztą przyznają same koncerny. Nie udałooby się zebrać ropy ze wzburzonego arktycznego morza przy silnym wietrze, który tu na ogół wieje, spośród natłoku lodowych kier. Niska temperatura spowalniałaby parowanie i rozkład organicznych zanieczyszczeń, więc zostałyby one w ekosystemie na zawsze.

Organizmy żyjące w Arktyce są bardzo odporne. Trzeba być odpornym, żeby żyć w tak trudnych warunkach. Ale ta ich odporność jest specyficzna. Mogą znieść niemal nieustanne zimno, długotrwałą ciemność (i równie długotrwałe, ciągle światło) i długie okresy postu, przerywane kilkoma miesiącami obfitości pokarmu. Aby się dostosować do takiego środowiska, trzeba się ściśle wyspecjalizować. Ale kiedy jakiś gatunek zaadaptuje się do ciężkich warunków panujących na dalekiej północy, ma do dyspozycji ogromne zasoby pokarmu i praktycznie nie ma konkurencji. Dlatego typową cechą ekosystemów polarnych (zarówno arktycznego na północy, jak i antarktycznego na południu) jest wielka liczebność osobników przy jednocześnie niewielkiej liczbie gatunków. W odróżnieniu od lasu tropikalnego czy rafy koralowej, gdzie w krótkim czasie dość łatwo można znaleźć sto organizmów należących do różnych gatunków (ale żeby znaleźć sto identycznych, nieźle trzeba by się natrudzić), na mroźnych końcach świata dużo prościej znaleźć stu przedstawicieli tego samego gatunku.

Dostosowanie do ekstremalnych warunków ma jednak swoją cenę. Oznacza to zdolność do doskonałego wykorzystania danych warunków przy jednoczesnej utracie elastyczności niezbędnej przy obcowaniu z częstymi nieprzewidywanymi zmianami. Środowisko po-

larne jest oczywiście trudne, ale też w miarę przewidywalne. Określone zjawiska występują regularnie. Dzień polarny, migracje reniferów, wylęg ptaków czy masowe rodzenie się młodych fok zdarzają się co roku o tej samej porze i w tym samym miejscu. Ktoś, kto się nauczy to wykorzystywać i jakoś sobie radzić, może tu żyć. Ale każda nagła zmiana (jak choćby skażenie środowiska przez wyciek ropy) może te rytmy zaburzyć i na zawsze zniszczyć delikatny balans procesów przyrodniczych.

Teraz jednak lepiej widać zmiany związane z ocieplaniem się klimatu. W 2007 roku padł pierwszy rekord – pokrywa lodowa na Oceanie Arktycznym skurczyła się do niespotykanych wcześniej rozmiarów. Później ten rekord został jeszcze kilkakrotnie pobity. To powinno niepokoić, bo zmiany grubości pokrywy lodowej wpłyną na cały nasz świat. Łudźmy się, jeśli myślimy, że będzie inaczej – jeśli zastanawiamy się, w jakiż to sposób topienie się lodów miałyby nas dotyczyć. Przecież Arktyka leży bardzo daleko, a lód morski nie jest zbyt głęboki i kiedy zniknie, poziom wody specjalnie się nie podniesie. Więc w czym problem?

Jeśli nawet pominąć to, że lód to nieodłączny element arktycznego świata, który umożliwia przetrwanie liczным organizmom, z niedźwiedziami polarnymi włącznie, jest on dla klimatu naszej planety bardzo wydajnym systemem chłodzącym. Jak wiemy, biały kolor odbija światło. Ta zdolność nazywana jest albedo. Dzięki niej lód odbija większość promieniowania słonecznego. W odróżnieniu od lodu woda ma albedo znacznie mniejsze, przez co absorbuje promieniowanie i doprowadza do dalszego podgrzewania się systemu. Więc zniknięcie lodu to nie tylko zmiana ilościowa. Świat bez lodu to nowa jakość, obarczona bardzo poważnymi konsekwencjami dla nas wszystkich.

Powstał taki futurystyczny film – *Wiek głupoty*. Konkluzja podsumowująca upadek ludzkości na skutek klęsk klimatycznych brzmi: „Mogliśmy się uratować. Ale tego nie zrobiliśmy”. Powiem wprost: wiek głupoty to nasz wiek. Bo wygląda to tak, jakby cały świat schował głowę pod poduszkę w nadziei, że koszmar nas ominie. Nie ominie i ucieczka w zaprzeczenia nic nam nie da.

NA RAZIE JEDNAK BRNIEMY przez lód i powoli zbliżamy się do biegun. Nie mam pojęcia, jak ludzie wyobrażają sobie Ocean Arktyczny. Na dobrą sprawę nie wiem, jak sam go sobie wyobrażałem, nim się przekonałem, jak wygląda naprawdę.

Przede wszystkim: nie jest to czapa stałego lodu pokrywająca górskie szczyty. Na oceanie lód powstaje ze słonej wody, zamarza stopniowo, więc – zwłaszcza świeży – ma zupełnie inną strukturę niż lód na jeziorach i rzekach – nie jest kruchy. Jest zaskakująco elastyczny. Z czasem, gdy w wyniku różnych procesów fizycznych jego zasolenie maleje, robi się coraz bardziej twardy i kruchy. W końcu zaczyna przypominać ten, który znamy z wód słodkich. To dlatego trzy- czy czteroletni lód jest poważną przeszkodą dla statków – nie dość że jest grubszy, to jeszcze bardziej zwarty i twardy.

Lodowa pokrywa otaczająca biegun północny nie ma wyraźnej granicy. Nie zaczyna się nagle w otwartym morzu, jak gigantyczna kra. Na odcinku kilkuset mil mijamy coraz gęstsze bryły lodu i kry, aż w końcu zaczynamy się przebijać przez zwarte pole lodowe. Ale nawet w pobliżu bieguna, zwłaszcza ostatnimi laty, znajdziemy w nim kałuże roztopionej wody, długie, ułatwiające żeglugę kanały, przetainy (pionowe otwory w miejscach, gdzie kałuże roztopiły całą grubość lodu) i większe niezamarznięte obszary otwartej wody zwane połyniami.

Przedzieranie się przez ten poszatkowany teren jest wyjątkowo trudne. Drogę potrafią zagrozić także wysokie wały lodowe powstające na stykach ogromnych kier w wyniku wypiętrzania się krawędzi lodowych olbrzymów. To między innymi dlatego – choć warunki pogodowe nie są aż tak ekstremalne jak na południu i w zasadzie wszyscy mieli tam bliżej – biegun północny opierał się dużo dłużej zdobywcom niż serce Antarktydy. Drugim problemem utrudniającym poruszanie się po arktycznym lodzie jest jego nieustanny ruch.

Wielokrotnie miałem zaszczyt pracować z kanadyjskim podróżnikiem Lauriem Dexterem. Opowiadał mi, że podczas wyprawy (w 1988 roku należał do radziecko-kanadyjskiej ekspedycji Polar Bridge, która jako pierwsza w historii przeszła na nartach przez biegun z Rosji do Kanady) najbardziej frustrujące były te dni, kiedy w wyniku dryfu po wielu godzinach forsownego marszu wieczorem mieli do celu dalej niż o świcie, gdy ruszali w trasę. W wielu źródłach wciąż można



przeczytać, że na biegun jako pierwszy dotarł albo Frederick Cook w roku 1908, albo Robert Peary w 1909. Konflikt między nimi to chyba najśłynniejsza awantura w historii odkryć geograficznych. Obaj byli doświadczonymi polarnikami, kiedyś nawet podróżowali razem i na początku łączyła ich szczerą przyjaźń. Każdy z nich z szacunkiem wyrażał się o przyszłym rywalu. Po wspólnej wyprawie na Grenlandię w 1891 roku Frederick Cook ruszył na południe. W latach 1897–1899 jako lekarz międzynarodowej wyprawy podróżującej statkiem „Belgica” znalazł się wśród pierwszych ludzi zimujących w Antarktyce. Pod wieloma względami wyprawa okazała się bardzo ważna i ciekawa. Dość powiedzieć, że członkiem załogi byli też Roald Amundsen, a także dwóch Polaków – Henryk Arctowski i Antoni Dobrowolski. Ale o tym później. Po powrocie Cook nadal podróżował. W 1906 roku ogłosił, że jako pierwszy zdobył McKinleya na Alasce, najwyższy szczyt Ameryki Północnej. Wreszcie w lipcu 1907 roku wyruszył na biegun północny, by wrócić w kwietniu 1909 i obwieścić, że 21 kwietnia 1908 roku dotarł do celu.

W odróżnieniu od niego Robert Peary od początku skupił się na Arktyce. Przez ponad dwadzieścia lat albo właśnie tam był, albo przygotowywał się do kolejnej wyprawy. Z czasem opracował i opatentował do perfekcji własną metodę podróżowania po Arktyce. Angażował całą armię ludzi i psów i zostawiał zapasy wzdłuż całej trasy, żeby grupa wyruszająca w ostatnią część mogła wędrować możliwie łatwo. Fundusze niezbędne do realizacji swoich przedsięwzięć pozyskiwał od prywatnych sponsorów, którym w zamian obiecywał utrwalenie ich nazwisk w odkrywanej geografii. Cieszył się też poparciem National Geographic Society. Ponadto, będąc oficerem marynarki wojennej, ją również miał po swojej stronie. Poświęcił temu lata i mnóstwo pieniędzy, odmroził sobie różne części ciała. Był też człowiekiem bardzo aroganckim. Wszystko to sprawiło, że zdobycie bieguna północnego zaczął uważać za swoje i tylko swoje zadanie. Uznał, że na całym świecie tylko on zasługuje na ten zaszczyt, by stanąć tam jako pierwszy. W sierpniu 1908 roku – z pięćdziesięcioma ludźmi (w tym inuickimi rodzinami) i dwustu czterdziestoma sześcioma psami – wyruszył w czwartą

podróż na biegun. Zdawał sobie sprawę, że jeśli tym razem się nie uda, kolejnej szansy raczej już nie będzie. Możemy sobie więc wyobrazić, jaki był wściekły, gdy rok później wrócił i tryumfalnie oznajmił, że 6 kwietnia 1909 roku dopiął swego – i dowiedział się, że Cook go wyprzedził. Rozpętało się medialne piekło – przynajmniej wedle standardów i technicznych możliwości sprzed stu lat. Cookowi nie pomogło to, że tymczasem zakwestionowano zdobycie przezeń McKinleya.

Peary celowo uniemożliwił przywiezienie z Arktyki sprzętu Cooka – był niezbędny, żeby dało się potwierdzić jego roszczenia – i dzięki wsparciu swoich możnych popleczników zdołał go zdyskredytować. Choć w tamtym czasie również to, że on zdobył biegun, zostało zakwestionowane – cztery głosy za, trzy przeciw – Podkomisja do spraw Marynarki Wojennej Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych uznała, że to zrobił. Ale dokładniejsze analizy jego dzienników, wcześniej nikomu nieudostępnianych, wraz z zawartymi w nich obliczeniami sprawiły, że pod koniec lat osiemdziesiątych xx wieku większość zajmujących się tą sprawą historyków doszła do wniosku, że tam nie doszedł, choć zapewne był całkiem blisko: do celu zabrakło mu około stu kilometrów.

Jak rzecz się miała naprawdę, nigdy się nie dowiemy. Cook zmarł, okryty niesławą, Peary po latach również niechętnie mówił o swojej wyprawie. Co ciekawe – mimo że dowody na bezpodstawność (zamierzoną lub nie) roszczeń Cooka są dla większości badaczy przekonujące – możliwe, że mówił prawdę. Wiadomo, że warunki panujące na biegunie opisał bardzo rzetelnie. Potwierdzali to później ci, którzy docierali tam samolotami, łodziami podwodnymi, lodołamaczami, a w końcu również drogą lądową. Pierwszym człowiekiem, który bez żadnych wątpliwości dotarł na biegun w starym ekspedycyjnym stylu, czyli z psimi zaprzęgami, był Wally Herbert. Stało się to dopiero w 1969 roku. Ale kiedy Herbert wrócił do domu (jego wyprawa szła z Alaski aż na Spitsbergen), Neil Armstrong wykonał na Księżycu swój wielki skok dla ludzkości. To wydarzenie skutecznie przyćmiło sukces Herberta i jego ludzi. A szkoda.

Cała ta historia mówi tyle samo o surowości Arktyki, co o ludzkich ambicjach, małostkach i zwykłej zawiści. Ale jakkolwiek na nią spojrzeć, jest bardzo pouczająca.

NIE DA SIĘ UKRYĆ, że łatwo i przyjemnie snuć rozważania o dawnych zdobywcach, kiedy ciepła kajuta sama przesuwa się w kierunku punktu, do którego inni dochodzili (albo chociaż próbowali dojść) tak wielkim kosztem.

Na takim snuciu, przerywanym zwykłymi statkowymi zajęciami, mijają mi kolejne dni. Opowiadałam turystom o niedźwiedziach polarnych, fokach, morsach, wielorybach i arktycznych ptakach, a kiedy nie mam prezentacji, organizujemy lodoznawcze wycieczki helikopterem, barbecue i inne rozrywki. No i nieustannie zbliżamy się do celu. Wreszcie, pod koniec piątego dnia, nasze GPS-y pokazują 89°N. Już niedaleko, jutro będziemy na biegunie! Rankiem następnego dnia zaczynają się przygotowania. W końcu z mostku ogłaszają, że zostało jeszcze piętnaście minut. Ludzie zbierają się na pokładzie dziobowym, im bardziej z przodu, tym lepiej – każdy chce dotrzeć na biegun kilka sekund wcześniej niż inni. Na szczęście pogoda dopisuje. Temperatura w okolicach zera, nie ma wiatru, chmur też niewiele. Otaczają nas dokładnie takie same widoki jak te, które widzieliśmy przez kilka poprzednich dni. Wokół tylko płaskie kry i kilkumetrowe torosy, kałuż mało, otwartej wody nie widać wcale. Tak przynajmniej było w 2007 roku, kiedy trafiłem tu pierwszy raz.

W roku 2013, w trakcie szóstej wizyty, przy samym biegunie wody widzieliśmy całkiem sporo. Zastanawiałem się, czy nie zostaną przypadkiem pierwszym człowiekiem, który popływa po biegunie zodiakiem. Kawałek dalej na szczęście było jej dużo mniej, ale dokładnie na 90°N zobaczyłem żerującą mewę trójpalczastą, a to znaczyło, że doleciała aż tutaj właśnie dzięki łańcuchowi wodnych zbiorników umożliwiających znalezienie pokarmu. Taka jednostkowa oczywiście obserwacja o niczym nie świadczy, niemniej w obliczu zmian klimatycznych kojarzy się fatalnie.

Wróćmy jednak do pierwszej z moich biegunowych wypraw. Nastrój zmienia się z każdą chwilą. Każdy dostaje kieliszek szampana, a szczęśliwi posiadacze odbiorników GPS nie spuszczaają wzroku z powoli zmieniających się cyferek i głośno anonsują każdą kolejną minutę. I wreszcie: 90°! Komunikat z mostka potwierdza – naprawdę tu dotarliśmy! Tak oto znalazłem się na samym szczycie świata. Tu czas właściwie nie istnieje, podobnie jak kierunki geograficzne – w każdą



Stąd można iść tylko na południe

stronę jest tylko południe. Na biegunie nie ma oczywiście żadnego znaku. Arktyczny lód dryfuje dość szybko, więc nawet lodołamacz nie może tutaj zostać dłużej. Ale przez chwilę rzeczywiście tu jesteśmy. Szef ekspedycji wygłasza przemówienie: mówi o tym, że ludzie na całym świecie kochają się, jedzą, śpią i pracują, że niektórzy głodują, inni mają wszystkiego za wiele, jeszcze inni zabijają się w bezsensownych wojnach, a my, ludzie z tylu różnych krajów, jesteśmy teraz razem na szczycie świata, w przyjaźni. I tak powinno być. Wznosimy toast za pokój na świecie. Na pewno bardzo to ludzkości pomoże. Przy całym swoim sceptycyzmie muszę przyznać, że chwila jest podniosła. Jeszcze pamiątkowe zdjęcia, gwar wesołych rozmów, wywijanie przywiezionymi flagami. Zerkam na GPS. Przestał wskazywać 90°, co oznacza, że zaczęliśmy się zsuwać z wierzchołka planety. Próbuje odnaleźć swój biegun. Chodzę po pokładzie i śledzę cyferki – i jest, tuż za kioskiem maszynowym. Jeden krok i współrzędne znowu się zmieniają. Zataczając niewielkie kółko, można tu przejść przez wszystkie południki. Skwapliwie pieszo okrążam świat. Zajmuje mi to niecałą minutę. To na pewno rekord. Kiedy kończę, znowu staram się odnaleźć 90°N i widzę, że nieuchronnie zbliża się moment, gdy nasz statek znajdzie się poza nim. Było fajnie.

OCZYWIŚCIE PÓŁNOCNY BIEGUN GEOGRAFICZNY to tylko jeden z arktycznych biegunów, ale na pewno to on najbardziej działa na wyobraźnię. Gdyby nasza planeta była wielką kulą z cukrowej waty, właśnie tamtędy wychodziłby podtrzymujący ją patyk. Ale mamy jeszcze biegun magnetyczny, na którym linie pola magnetycznego naszej planety trafiają pionowo w jej powierzchnię. To tam kieruje się igła kompasu. Tam wskazywałaby prosto w dół. Biegun ten znajduje się u północnych wybrzeży Kanady, ale przesuwa się dość szybko – o trochę ponad pięćdziesiąt kilometrów rocznie – w kierunku Rosji. Nieco trudniej jest sobie wyobrazić biegun geomagnetyczny. Gdyby Ziemia była idealnym dipolem, jej oś geomagnetyczna dokładnie tamtędy przechodziłaby przez jej powierzchnię. Dlatego bieguny geomagnetyczne, południowy i północny (z punktu widzenia fizyki północny leży zresztą w Antarktyce, a południowy – na północy, ale w nazewnictwie, żeby było wygodniej, stosuje się kryterium geograficzne) leżą dokładnie naprzeciwko siebie. A ponieważ Ziemia nie jest idealnym dipolem (płyny w jej wnętrzu są w ciągłym ruchu), bieguny magnetyczne leżą trochę z boku i nie znajdują się na przeciwległych punktach powierzchni planety. Mamy wreszcie bieguny niedostępności, czyli miejsca, do których zewsząd jest najdalej. W Arktyce to punkt, z którego jest najdalej do lądu, w Antarktyce zaś – do morza. Są jeszcze oczywiście bieguny zimna, bieguny wiatrów i tym podobne, ale to coraz bardziej wydumane koncepcje.

My jesteśmy na biegunie geograficznym. Teraz musimy znaleźć odpowiednie miejsce na okolicznościową imprezę: krę na tyle dużą, by można było na nią bezpiecznie wysiąść. Na szczęście udaje nam się już po pół godziny, więc biegunowe celebracje odbędą się w prawie właściwym miejscu. „Jamał” wbija się w upatrzoną krę i zastygą. Pierwszy raz od prawie tygodnia nic się nie trzęsie, nie słysząc nieustannego huku. Dziwne uczucie. Wokoło płaska śnieżna równina, najbliższe torosy i szczeliny są kilkaset metrów dalej. Chłopaki i dziewczyny z departamentu hotelowego (czyli ta część załogi, która odpowiada za kuchnię, restaurację, bar i kajuty) rozstawiają na lodzie stoły i ławy, my, *expedition team*, pomagamy im zgodnie z instrukcjami. Targamy też na lód ciężki znak z napisem „North 90°N Pole” i układamy wokół niego linę. Po jakimś czasie wszyscy pasażerowie są na



Potężny dziób atomowego lodołamacza na samym biegunie północnym

lodzie. Ustawiamy się na lodowym kręgu, łapiemy za ręce i rytualnie obchodzimy świat dookoła. Jeszcze jedno przemówienie, tym razem kapitańskie, pamiątkowe fotki, śpiewamy *Auld Lang Syne* i zaczyna się barbecue. Może brzmi to sztucznie i absurdalnie, ale tu każdy trochę opuszcza gardę cynizmu. Godzimy się na te dziwaczne symboliczne działania i nasze przyklejone do twarzy uśmiechy są naprawdę szczere. Magia bieguna działa na każdego. Przy długich stołach wydaje się gorące jedzenie, leje grzane wino, gra muzyka. Jesteśmy jedynymi ludźmi w promieniu kilkuset kilometrów, na samym środku arktycznego pustkowia. Świeci słońce, wcale nie jest za zimno (mimo to wszyscy mają na sobie ciepłe kurtki, a kelnerzy i kelnerki wydający potrawy muszą ciągle podskakiwać i dyskretnie popijają rozgrzewający trunek). Jednocześnie trwają przygotowania do tradycyjnego biegunowego szaleństwa – kąpieli w przerębli. W pobliżu nie

ma otwartej wody – poza śladem wyciętym przez nasz statek. Kapitan rozpycha trochę krę, marynarze mocują na niej metalowe schodki i szykują pasy bezpieczeństwa. Ustawia się kolejka rozochoconych wariatów w ciepłych butach i białych szlafrokach. Kąpiel na samym biegunie to coś wyjątkowego. Zwykle decyduje się na nią mniej więcej jedna trzecia podróżnych, z załogą włącznie. Kiedy nadchodzi pora, szlafroki opadają, a drżące ciała opasuje się grubymi brezentowymi uprzążami. Wskakuje się do wody samemu, ale wychodzącym się pomaga. Niektórzy dzielnie przepływają kilka metrów, parę osób dopływa nawet do burty statku, ale kiedy wychodzą, ten jeden jedyny raz coś porusza się przeciw grawitacji szybciej niż w zgodzie z nią. Większość naszych pasażerów to ludzie starsi, wielu obawia się o swoje serce, ale w pobliżu zawsze stoi lekarz z defibrylatorem. Widziałem w życiu dużo podobnych skoków: zwykle ludzie są przerażeni i wpadając do wody, albo milkną oszołomieni, albo wykrzykują głośno niezbyt cenzuralne słowa. Ale nigdy jeszcze nie spotkałem nikogo, kto by żałował tej niepoważnej decyzji. Nigdy też nie byłem świadkiem jakichkolwiek problemów. Wychodzący z wody dostają na rozgrzewkę kieliszek wódki (to najczęściej moje zadanie, widać jako jedyny Polak w okolicy jestem uważany za fachowca), po czym większość pośpiesznie się ubiera i pędzi pod gorący prysznic. Niektórzy jednak zostają, a nieliczni skaczą jeszcze raz! Czego to człowiek nie zrobi za darmowy kieliszek...

Czas na osobiste wyznanie. Tak się jakoś złożyło, że ani razu jeszcze do tej wody nie wskoczyłem, zresztą w Antarktyce również (choć tam kąpałem się kilka razy na stacji). Albo w zamieszaniu zapominam włożyć kąpielówki, a później nie chce mi się biec na statek i przebierać (dużo ubrań – no i ważna funkcja podawacza wódki), albo uznaję, że przecież będzie jeszcze okazja, albo postanawiam nie psuć estetyki dziewiczego krajobrazu swym półnagim cielskiem. Jeśli jednak kiedyś znów trafię na biegun północny, zrobię to na pewno. Chociaż ta woda jest rzeczywiście zimna (to słone morze, więc jej temperatura jest niższa od zera). Ponieważ pracuję w rejonach polarnych od jedenastu lat, nikomu z moich kolegów i koleżanek nawet nie przyjdzie do głowy, że nigdy tego nie zrobiłem. Nie odczuwam więc presji i dyskretnie milczę. Ale kiedyś będzie trzeba.

Nie każdy ma opory podobne do moich. Mój kolega z kajuty, rosyjski biolog Nikołaj Formozow, opowiadał mi, że rok wcześniej cały lodołamacz wynajęła sekta religijna z głębi Syberii. Wszyscy byli dość dojrzaśli, również postury mieli raczej stateczne. Na biegunie większość postanowiła się wykapać, i to nago. No i ustawił się przy przeręblu ogonek okrągłutkich, zażywnych i wesołych starsuszków obu płci, a twardy rosyjski marynarz, zdobywca oceanów i lodowych przestrzeni, musiał podnosić różne opadające fałdy ich ciał, żeby im założyć pasy ochronne. Niestety wrażenia okazały się zbyt mocne nawet dla tak doświadczonego wilka morskiego – przy dziewiątej osobie zemdłał i ktoś musiał go zastąpić. No właśnie – ja po prostu nie chcę narażać kolegów, więc się nie kąpię. To bardzo dobry powód. Doskonały.

Sześć moich wizyt na biegunie wyglądało podobnie, choć płynąłem tu na dwóch różnych lodołamaczach i pracowałem dla dwóch różnych firm. Od kilku lat moja obecna firma dodaje następną atrakcję. Pływają teraz z nami Kiff Saunders i Viktor Myazov, australijscy piloci balonowi. Biorą ze sobą swój balon na gorące powietrze. Jeśli to tylko możliwe (byliśmy razem na czterech rejsach i udało się tylko raz, potrzebne są bowiem idealne warunki: nie może wiać i musi być dobra widoczność), organizujemy krótki lot balonem. Pasażerowie mogą oglądać świat znad jego wierzchołka. Przeżycie jest niesamowite. Ponieważ, jak głosi nasze zawodowe porzekadło, *staff is dispensable* (przewodnicy są zbędni, można ich spisać na straty), miałem to niewysłowione szczęście znaleźć się w gondoli w czasie lotu próbnego, zanim zaproponowaliśmy to turystom. Technicznie rzecz biorąc, jestem jednym z pierwszych czterech ludzi w historii, którzy latali balonem na samym biegunie.

Barbecue powoli dobiega końca, kilkoro podochoconych gości tańczy na lodzie, również przy dostarczonych przeze mnie polskich piosenkach. Ciekawe, czy Strachy na Lachy i Formacja Nieżywych Schabuff miałyby coś przeciwko temu. Mimo że *Lato wszędzie*, pora się powoli zwijać. Dźwig podnosi poskładane stoły, ławy i naczynia, uprzątamy dokładnie teren i sprawdzamy, czy nie zostały po nas jakieś śmieci. W turystyce polarnej (zresztą w każdej powinno tak być) obowiązuje zasada: nie bierz niczego poza zdjęciami, nie zostawiaj niczego poza odciskami stóp. Chwilę później po kilkugodzinnej im-

prezie dla ponad stu osób zostaje tylko ubity śnieg. „Jamał” rusza na południe. Pierwszego dnia płyniemy własnym śladem, więc przesuwamy się szybko. Choć w wyniku dryfu nie prowadzi on już dokładnie w tym kierunku, w którym byśmy chcieli, korzystanie z gotowej trasy z nawiązką wynagradza to drobne odchylenie. Pod wieczór jednak, gdy wracamy do przecinania cieńszej kry i rozbijania zatorów, znowu wszystko zaczyna się trząść. Znowu spotykamy kilka niedźwiedzi. Za każdym razem zatrzymujemy się, żeby chwilę poobcować z władcą tej lodowej domeny. Ale największa niespodzianka jeszcze przed nami.

Zbliżamy się do końca zwartego paku. Kry są coraz luźniejsze, a połacie otwartej wody zauważalnie rosną. Nagle widzimy charakterystyczną rozdwojoną fontannę, a po chwili ogromny czarny grzbiet znikający pod wodą – wieloryb grenlandzki! Biegnę na mostek, bo musimy się zatrzymać. Ten typowy mieszkaniec Arktyki to jeden z najrzadszych wielorybów na świecie. Spośród wszystkich waleni to on jest dostosowany do życia wśród lodów najlepiej. Ma pod skórą rekordowo grubą warstwę tłuszczu – nawet sześćdziesiąt centymetrów. Jego potężna głowa – u dorosłych osobników stanowiąc jedną trzecią jego długości ciała – jest tak solidna, że może nią przebić grubą warstwę lodu. Mając długość około dwudziestu metrów, wieloryby grenlandzkie ważą ponad dziewięćdziesiąt ton. Podobnej długości sejwale i humbaki ważą o połowę mniej, co pokazuje, jak bardzo są krępe. Cięższe od nich są tylko płetwale błękitne i finwale.

Wieloryb grenlandzki jest blisko spokrewniony z dwoma (lub, zdaniem niektórych naukowców, trzema) gatunkami tak zwanych wali biskajskich, nazywanych po angielsku *right whales* (wielorybami właściwymi). Nazwa ta ma ponurą genezę. Wieloryby pływają dość powoli i mają bardzo dużo tłuszczu, dzięki czemu nie tylko łatwo je dogonić, ale też zabite nie toną, tylko unoszą się na powierzchni. Dlatego były „właściwymi wielorybami do zabijania”. I rzeczywiście, zabijano je masowo. Wieloryby grenlandzkie zostały wytrzebione przez wielorybników do tego stopnia, że zostało około dziesięciu tysięcy osobników i z pięciu znanych populacji jedynie ta zamieszkująca okolice Cieśniny Beringa nie jest uznawana za zagrożoną. Mimo to rdzenna ludność Arktyki wciąż na nie poluje, choć musi przestrzegać

ściśle określonych kwot połowów. W ciele wieloryba grenlandzkiego upolowanego w 2007 roku na Alasce znaleziono głowicę wybuchowej lancy używanej do polowań w latach osiemdziesiątych XIX wieku! Wyobraźmy sobie, co to znaczy: ten wieloryb doskonale pamiętał prześladowania, których ofiarą był w młodości. Ciekawe, czy opowiadał o tym swoim bliskim. Czy im powiedział, że od ludzi trzeba się trzymać z daleka. Czy może uznał to za nieprzyjemny incydent z dawnych czasów i więcej nie zaprzętał sobie nami głowy? Wiemy na pewno, że zwierzęta te mogą żyć dobrze ponad sto lat, a wyniki badań składu aminokwasów w gałkach ocznych dorosłych osobników sugerują, że mogą dożywać i dwustu. Jest to zatem najbardziej długowieczny ssak na świecie. Ale też potrzebuje wielu lat, by w swoim mroźnym świecie dorosnąć i wydać potomstwo. Jego metabolizm jest powolny, powoli się też rozmnaża. Dlatego skrajnie przetrzebiona populacja odbudowuje się tak wolno.

Spotkanie z tym wspaniałym zwierzęciem to prawdziwy zaszczyt. Miałem tę przyjemność raptem trzy razy w życiu. I za każdym razem ich majestat mnie powalał.

Nasz wieloryb nie został z nami długo. Jeszcze dwa razy pokazał swoją potężną głowę z bardzo wystającą osłoną umieszczonych na jej czubku nozdrzy. Płynący tuż pod powierzchnią wieloryb grenlandzki wygląda jak dwie niewielkie wyspy dostojnie przecinające wodę – wiadać właśnie nozdrza i ogromny, pozbawiony płetwy grzbiet. W końcu nasz prastary gospodarz zniknął w swoim mrocznym królestwie, a my odpłynęliśmy, by nie zakłócać mu spokoju. Podnieceni turyści zeszli z zewnętrznego pokładu i zaczęli porównywać zdjęcia. Ja nawet nie podniosłem aparatu do oczu, wolałem je sycić widokiem.

„Jamał” rozpychał coraz rzadsze kry. To było prawdziwe spotkanie na szczycie – spotkanie dwóch kolosów płynących z łatwością gdzieś, gdzie nikt inny nie dałby rady.

Wkrótce jednak wyrwaliśmy się z lodowych oków i wypłynęliśmy na otwarte morze. Tego samego dnia wieczorem dostrześliśmy na horyzoncie spowite mgłą białe grzbiety wysp Ziemi Franciszka Józefa. Ale ten archipelag zasługuje na odrębną opowieść.

Od góry: kaszalot spermacetowy, płetwal błękitny i waleń biskajski